

Kto jest suwerenem? [FELIETON]

Kto we współczesnym demokratycznym państwie jest w istocie suwerenem? Czy nieco mityczny „naród”, wyłaniający z siebie hamujące się nawzajem rząd i parlament? Czy też technokratyczna korporacja prawników, dla której „rządy prawa” są ideologią, stanowiącą oręż w politycznej batalii o przejęcie atrybutów suwerenności? – pisze Jan Rokita w kolejnym tekście z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

W Polsce wyrok sądu konstytucyjnego wywołał całkiem spory kryzys polityczny, oraz załamanie notowań sondażowych rządzącej prawicy. Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na argument podniesiony przez szefa Platformy Obywatelskiej Budkę, który zakwestionował prawo sędziów do rozstrzygania o treści kluczowych ustaw, ponad głowami polityków obdarzonych demokratycznym mandatem. To fakt znaczący, albowiem ten argument nigdy dotąd nie padł po stronie polskiej liberalnej opozycji, broniącej zaciekle prymatu sędziów nad polityką, w imię doktrynalnej ortodoksji „rządów prawa”. Niemal w tym samym czasie inny, ale równie głęboki kryzys polityczny wywołał wyrok sądu konstytucyjnego na Ukrainie. Zakwestionował on bowiem całe ustawodawstwo antykorupcyjne, jakie w wielkich trudnościach, pod silną presją UE, udało się przeprowadzić w Kijowie. Ustawodawstwo, które przed Ukrainą pierwszy raz w jej niepodległej historii otworzyło nadzieję na uwolnienie się od mafijno-korupcyjnego panowania oligarchów, a więc przekształcanie się w jako tako cywilizowane państwo. Skalę politycznego kryzysu wywołanego tym wyrokiem

obrazuje fakt, iż prezydent Ukrainy nie zawahał się odpowiedzieć projektem ustawy o usunięciu ze stanowisk dotychczasowych sędziów konstytucyjnych, co w kategoriach doktryny „rządów prawa” jest przecież zamachem na wszystkie świętości: wolność, niezawisłość, demokrację, i co by kto jeszcze chciał tutaj wymienić.

Zakwestionowanie przez Borysa Budkę prawa sędziów do rozstrzygnięcia o treści kluczowych ustaw, ponad głowami polityków obdarzonych demokratycznym mandatem, to argument, który nigdy dotąd nie padł po stronie polskiej liberalnej opozycji, broniącej zaciekle prymatu sędziów nad polityką, w imię doktrynalnej ortodoksji „rządów prawa”

W USA finał kampanii prezydenckiej zdominowała rzecz uznana przez konserwatystów za „historyczne zwycięstwo” Trumpa, odniesione tuż przed końcem jego kadencji. Chodzi o to, że Trump zdążył jeszcze powołać pravicową sędzię do Sądu Najwyższego, tworząc w tym gremium stan silnej przewagi

konserwatystów, który trwać ma aż do śmierci nieodwoływalnych sędziów. Charakterystyczna jest reakcja liberała Bidena, niejedyn raz niepokojącego się o „rządy prawa” i niezależność sądów w różnych krajach, w tym także w Polsce. Zapowiada on, iż powoła komisję, która miałaby wypracować koncept reformy Sądu Najwyższego. Co jasno w

Ameryce zrozumiano jako sondowanie możliwości odwołania się do sławnego precedensu Roosevelta, czyli rozszerzenia liczby sędziów, po to by uzyskać efekt odwrócenia politycznej większości w składzie sądu.

Ale szczególnie pouczające są najświeższe przypadki przejmowania przez sędziów władzy w czasie zarazy. Dwa niemal równoczesne zdarzenia z dwóch krańców Europy są typowymi przejawami tego trendu. W Hiszpanii rząd postanowił na jakiś czas wprowadzić „miękki lockdown” w stolicy kraju, obawiając się załamania madryckiej służb zdrowia. Jego rozporządzenie zostało jednak unieważnione przez sąd, co jak łatwo się domyślić, wytworzyło stan politycznego i sanitarnego chaosu. Broniąc się, lewicowy premier Sanchez wymyślił, iż tamtejszą KRS podporządkuje po prostu partii rządzącej, wprowadzając w Kortezach wymóg zwykłej większości dla wyboru jej członków. Jednak pod silną presją prawicy musiał się po jakimś czasie z tego pomysłu wycofać. Przypadek madrycki jest co prawda uwikłany w problem konstytucyjnego podziału zadań między różne segmenty władzy, gdyż nakaz lewicowego rządu oprotestował prawicowy samorząd regionu madryckiego. Ustrojowo „czystszy” jest przypadek Berlina. Tam z kolei socjalistyczny burmistrz *Müller*, stojący na czele rządu stołecznego landu, zdecydował o wprowadzeniu godziny policyjnej, czego skutkiem miało być skrócenie wieczornych godzin otwarcia restauracji. Na wniosek grupy restauratorów z dzielnicy *Neukölln* (która stała się rozsądnikiem wirusa) sędzia unieważnił jednak rozporządzenie rządu i nakazał otwierać restauracje także w nocy. Swoistego kolorytu całej sprawie dodaje logiczna groteska uzasadnienia wyroku, cytowanego przez berlińskie media. Sędzia powiedział bowiem, iż nie rozumie dlaczego rząd uznał, iż koronawirus nie zaraża w dzień, ale tylko w nocy.

Burmistrz Berlina stojący na czele rządu stołecznego landu zdecydował o wprowadzeniu godziny policyjnej, czego skutkiem miało być skrócenie wieczornych godzin otwarcia restauracji. Sędzia unieważnił jednak rozporządzenie rządu

Przypadek berliński jest szczególnie ciekawy, a to z racji swej filozoficzno-ustrojowej prostoty i klarowności. Nie trzeba aż myślowej przenikliwości Carla Schmitta aby rozumieć, że suwerenem jest zawsze ten, kto ma

realną i legalną moc zdefiniowania reguł stanu wyjątkowego. Dopóki wszystko odbywa się w zwyczajnych warunkach swoistej „rywalizacji” między egzekutywą i judykaturą państwową, tak jak to się dzieje od dawien dawna na przykład w Ameryce, można od biedy bronić tego modelu, jako swoistego przejawu liberalnej doktryny „check- &-balance”. Piszę: „od biedy”, bo w klasycznej teorii „check- &-balance” też w końcu nie idzie o przekazanie zwierzchniej władzy sędziom, ale o hamowanie tyrańskich zapędów egzekutywy przez parlament. Gdy jednak w grze pojawia się decyzja o godzinie policyjnej, czyli kwestia należąca par excellence do władzy stanu wyjątkowego, cały problemat natychmiast wskakuje na najwyższą polityczną półkę. Zmusza bowiem do postawienia pytania o to, kto we współczesnym demokratycznym państwie jest w istocie suwerenem. Czy ów nieco mityczny „naród”, wyłaniający z siebie hamujące się nawzajem rząd i parlament? Czy też technokratyczna korporacja prawników, dla której „rządy prawa” są ideologią, stanowiącą oręż w politycznej batalii o przejęcie atrybutów suwerenności? I Budka w Polsce (zjadając język własnej partii), i Biden w Ameryce (ryzykując w wyborach), i Sanchez w Hiszpanii (jak na euro-

lewicowca dość nieoczekiwanie), i Müller w Berlinie (wbrew niemieckiej utopii „Rechtsstaat”), i w końcu także Zieleński na Ukrainie (broniący zrębów swego państwa przed sądowym na niego atakiem) – wszyscy oni wyrażają jedną i tę samą obawę. Oczywiście, każdy z nich argumentuje i działa pod presją doraźnego interesu własnego obozu, czemu w realnej polityce ani nie można się dziwić, ani czynić z tego tytułu zarzutu. Ale to co naprawdę godne zauważenia – to rzecz całkiem inna. To mianowicie, że choć wszyscy ci politycy mają korzenie w obozie lewicy i liberałów, głoszącym przecież apoteozę prymatu sędziów nad polityką, to jednak w każdym z nich coś w końcu musiało się zbuntować przeciw owemu prymatowi, kiedy przyszło do praktycznego rozstrzygnięcia o tym, czyja ma być realna władza i kto jest suwerenem.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”